GONIEC

Dziennik dla Wszystkich illustrowany, i nie illustrowany.

Nr. 9. **Lwów 1887 r.** **Rok X.**

Wychodzi dwa razy na miesiąc. — Nadto, wszyscy prenumeratorowie „Gońca“ otrzymują bezpłatne dodatki, oraz czasopismo humorystyczne illustrowane „Iskra“. Prenumeratorom miejscowym wszystko odseła się do mieszkania.

Za odnoszenie dopłaca sie *5 ct. miesięcznie* roznosicielowi.

Prenumerata „Gońca“ wynosi wraz z dodatkami i „Iskrą“:
tak we Lwowie, jak i na prowincji (z przes. poczt.):

rocznie	8 zł. — ct.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 70 „

W Poznańskiem i Prusach, oraz w Niemczech 4 marek kwartalnie. — we Francji i we wszystkich innych krajach, oraz w Ameryce 5 fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie, przy ulicy Ossolińskich l. 10 od frontu ul. Cichej, gdzie się przyjmuje prenumeratę, ogłoszenia. Prenumeratę przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych franco pod adresem: Do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie. — Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei. Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie na M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski.**

SPIEW ŁABĘDZI

NOWELLA

przez

Jerzego Ohneta.

Przekład z francuskiego.

(Ciąg dalszy. — Patrz nr. 8.)

Żywy niepokój ogarnął Daisy, ale gwałtowne uczucia, miotające jej sercem, dozwoliły jej zapomnieć o niepożądanem spotkaniu. Stenio otworzył drzwi; weszli do pawilonu.

Zakonnica zatrzymała się i powiodła wzrokiem za nieznajomym, mówiąc:

— A! gdyby pan Marakczy chciał zezwolić, na zamieszczenie swego nazwiska na afiszu, zapowiadającym nasz koncert na biedne sierotki, pozostałe po rozbitkach morskich, jakże to bogaty plonby przyniosło!

— Więc wiesz, kto jest Marakczy, siostro Elżbieto?

— Wszak nazwisko jego jest tak sławne, jak Liszta i Rubinsteina.

— Tak, ale na nieszczęście od czasu choroby żony, nie chce występować publicznie. Niedawno temu, w Wiedniu, nie dał się nakłonić, aby grał u cesarza, dla którego ma najgłębszą cześć i przywiązanie, gdyż Franciszek Józef jest najpierwszym jego protektorem.

— Możeby uczynił dla nieszczęśliwych sierot, co odmówił monarsze?

— Jedna chyba osoba zdołałaby może wymódz to na nim... tak... tak... Daisy Mellivan... Ach! byłoby to coś nadzwyczajnego!... Naznaczylibyśmy po czterdzieści franków za bilet i sala byłaby przepełniona; możnaby nieomylnie liczyć na trzydzieści tysięcy franków dochodu.

Zachwycona siostra Elżbieta, skrzyżowała ręce na piersiach, usta jej poruszały się, jakby cicho odmawiały modlitwę.

II.

Stenio Marakczy jest bez zaprzeczenia najznakomitszym z wirtuozów, pod których smyczkiem drgały kiedykolwiek dźwięczne struny skrzypców. Wrażliwy, jak Paganini, w chwilach podnieconej wyobraźni, prawdziwych *tours de force* dokonywał swoim smyczkiem. Ale nie naciskaniem ręką czwartej struny, wielki artysta dobił się sławy; jeśli palce jego umiały cudownie wykonywać, to pełna ognia wyobraźnia umiała tworzyć cuda. Był niezrównanym, czarującym improwizatorem, porywającym najchłodniejsze serca. Z pod jego smyczka czarodziejskiego, wydobywały się z kolei najsprzeczniejsze melodje. Już to tchnęły zimowym smutkiem niezmierzonych równin, przerżniętych Dunajem i zarosłych trzciną, zaludnioną milczącemi czaplami; to znów odzywały się wesołe echa wieśniaczych zabaw, wśród których dziewczęta tańczą z narzeczonymi wesołego czardasza; lub nareszcie wojenne dźwięki marszów, w których daje się słyszeć odgłos trąb, szczęk pałaszów i huk dział. W skrzypcach Marakczego przebija się cała dusza Węgier, już to smutna, już radosna, lub bohaterska. I dla tego to w ojczyźnie swej, był tak popularnym, jak Kossuth, a w całej Europie czarował wszystkich, co mieli sposobność go słyszeć.

Był synem kapelmistrza pałacu królewskiego w Peszcie, nie rósł jednak swobodnie, jak dzicy cyganie, przebiegający płaszczyzny naddunajskie. Odebrał nadzwyczaj staranne wychowanie i ukształcenie, tak muzyczne, jak umysłowe. Zwrócił na siebie uwagę cesarza i króla wykonaniem na skrzypcach solo *O Salutaris*, układu ojca swego i wezwany do Wiednia, aby grał na koncertach dworskich, wywarł od razu nader silne wrażenie. Przez całą zimę wywoływał niezrównany zachwyt, kobiety zaś czarował nietylko grą, ale i niezwykłą pięknością. Miał wtedy lat dwadzieścia, postawę pańską, smętny wyraz twarzy, czarne błyszczące i zarazem marzące oczy, w których płonęły wszystkie ognie Wschodu.

Jasnowłose wiedenki szalały za pięknym chłopcem, z czarnymi jak noc włosami. Stenio stał się zepsutem dzieckiem wielkiego świata wiedeńskiego i umiał dźwigać z niezrównaną swobodą ogrom tak niespodziewanego szczęścia. Nigdy i w niczem nie miał miny parweniusza. Naturalnie, bez najmniejszych wysiłków, umiał stanąć na równi z najpierwszymi panami, pieniądze wydawał tak łatwo, jak mu przychodziły. Nie pominął bez wsparcia żadnego nieszczęścia, ale gdy jakiś bogacz ze sfer finansowych pragnął, aby grał w jego salonach żądał za to szalonych sum.

Uznany wielkim artystą w swoim kraju, co tak rzadko się zdarza, Stenio postanowił podbić Europę i udał się do Francji, której publiczność jest prawdziwym kamieniem probierczym talentu artystów. Tam czekało go nadzwyczajne powodzenie, zapał i uniesienie dochodziły do szału.

Na pierwszym zaraz koncercie w Cyrku Zimowym, w którym Planté towarzyszył mu na fortepianie, gdy zagrał swego cudnego *Marsza Honwedów*, z ukończeniem jego nastała chwila niedająca się opisać, wszyscy w sali zerwali się z siedzeń, krzycząc, klaskając, bijąc nogami w podłogę, jakby gwałtownem tknięci szaleństwem. Wstępnym bojem wirtuoz węgierski zdobył sobie niesłychane powodzenie.

I tak, młody, piękny, bogaty, wynoszony pod niebiosa przez lat dziesięć przebiegał Europę, wśród grzmiących oklasków i nieustających tryumfów, jakby perły, cudne melodje rozrzucając po drodze, wzbogacając impresariów i wydawców. Ale z początkiem lipca, aż do października znikał corocznie z widowni świata i wtedy nikt nie słyszał cudnych dźwięków wydobywających się z pod jego smyczka. Jak gwiazda spadająca, zakreślająca ślad świetlany i nagle zapadająca w ciemności, tak i gienialny artysta znikał nagle wśród najświetniejszych tryumfów i nikt nie wiedział, gdzie się obraca.

Podczas, gdy reporterowie łamali sobie głowy, nad zmyślaniem przeróżnych historyjek i opisów jego schronienia, Stenio przebywał w małej wiosce, którą kupił dla ojca. Tam odpoczywał i stawał się znów dzieckiem przy starym kapelmistrzu, tam całe wieczory spędzał nad studjowaniem starych mistrzów: Mozarta, Beethovena, Webera i innych, orzeźwiając swoją rozpłomienioną

uszę, w tych przeczystych źródłach idealnego natchnienia.

Wzruszający to był widok, jak wielki ten artysta, traktowany przez ojca, jak zwykły uczeń, powtarzał cierpliwie każdy ustęp, który staremu kapelmistrzowi zdawał się nie dość dokładnie pojętym i wykonanym, odgrywając dla starych sprzętów domowych, dla róż pnących się koło okien, dla ptaków w ogrodzie, utwory i melodje tak cudowne, że oczarowana publiczność słuchałaby ich w kornem zachwyceniu. Z nadejściem jesieni, ukazywał się w Wiedniu i rozpoczynał znów artystyczne swoje podróże.

Syt zaszczytów, bogactwa i sławy, doszedł trzydziestego roku życia, nie zaznawszy żadnej przeciwności; najlżejsza nawet troska nie zasępiła dotąd pogody jego czoła. W tym to czasie, ustępując naleganiom słynnego impresarja Burnstetta, zdecydował się przebyć ocean, aby dawać koncerta w Ameryce.

Pierwej jednak zamierzał zabawić kilka tygodni w Anglji; tam książę Walji, będący zapalonym jego wielbicielem, zaprosił go do siebie na polowanie w Szkocji. Pragnął jednak, aby pierwej królowa miała sposobność usłyszeć niezrównanego wirtuoza.

Niezwykła ta uroczystość odbyła się w Windsorze. Z powodu nader małej liczby zaproszeń, szalone czyniono zabiegi, aby należeć do wybranych. Gdy Stenio ukazał się w sali, ze skrzypcami w ręku, rozległ się w niej szmer miły, niepochwycony od strony dam, otaczających królowę i dreszczem jakimś przejął artystę. Uśmiechnął się i nie podnosząc oczu, uderzył lekko smyczkiem o skrzypce, dając znak towarzyszącemu na fortepianie, że grać zaczyna.

Zagrał rzewną i smętną melodję, odbijającą w sobie skargi cierpiącej duszy, mającej opuścić ten padoł płaczu, której nadał nazwę *Śpiew łabędzi*. Pod czarodziejskimi palcami jego, przesuwały się naprzemian szczęśliwe wspomnienia przeszłości, świetne zabawy i upajające rozkosze, obok bolesnych rzeczywistości rozpaczliwej teraźniejszości. Nie skrzypce to już przemawiały do słuchaczów, nie; to serce boleśnie zranione, wypowiadało swe ostatnie skargi, przed wydaniem ostatniego westchnienia.

Stenio grał jak zwykle ze spuszczonemi oczami, zapominając o wszystkiem, co go otaczało i właśnie dawały się słyszeć ostatnie dźwięki czyste, jak tchnienie anioła ulatującego do nieba, gdy wśród ogólnego milczenia zachwyconych słuchaczów, rozległo się głośne łkanie. Zadziwiony, podniósł oczy

Jednem spojrzeniem objął wielką salę lśniącą od światła, klejnotów i kwiatów i w pierwszym zaraz rzędzie, o dwa kroki od siebie, spostrzegł młodą, dziewczynę z twarzą zalaną łzami, wywołanemi gwałtownem, miotającem nią wzruszeniem. Siedziała nieruchoma, z rękami złożonemi, jak do modlitwy. W tej chwili świat nie istniał dla niej; porwana wzniosłem natchnieniem artysty, unosiła się w świetlanych przestrzeniach wiekuistej poezji. Do uszu jej dochodziły anielskie głosy, duszę ogarnęła jakaś nadziemska błogość, pragnęłaby przez wieczność całą słuchać tej niebiańskiej muzyki.

Dźwięki ucichły, w sali rozległ się grzmot oklasków i ruch ogólny powstał w pośród słuchaczów, którzy zapominając o etykiecie dworskiej, zerwali się gwałtownie, aby wypowiedzieć artyście swoje uwielbienie. Zatopiona w zachwycie, nic nie wiedziała co się w około niej dzieje, aż nagle uczuła lekkie trącenie i słodki głos szepnął jej:

— Mery, Mery moja, co tobie?

Dziewczę poruszyło powiekami, jakby budząc sie ze snu, westchnęło i uśmiechając się do pochylonej nad nią nieco zaniepokojonej siostry, rzekło powoli:

— Ach! byłam tak daleko!... tak daleko!...

Wtedy zobaczyła artystę, otoczonego gronem najpierwszych dam, zasypujących go grzecznościami i pochwałami; słuchał ich ze skromną powagą. Po chwili widziała, że zwraca się ku niej, prowadzony przez księcia Walji. Marakczy pochylił głowę, a książę rzekł do niej:

— Miss Mellivan, przedstawiam jej przyjaciela mego, pana Stenia Marakczego, który pragnie tego zaszczytu.

Mery wyszeptała kilka słów niezrozumiałych; uczuła w piersiach, jakby palący ogień. Gdy odzyskała zimną krew, książę już się oddalił, a artysta miał grać znowu. I pod wpływem czarodziejskiego smyczka, Mery znów zatonęła w zachwycie i wieczór ten przeszedł dla niej w jakiemś rozkosznem upojeniu.

Pobyt Marakczego w Londynie, mający trwać kilka dni, przeciągnął się do kilku tygodni. Dzienniki amerykańskie doniosły, że tak upragnione przybycie artysty zostaje odłożone; wkrótce dowiedziano się, że nie przybędzie wcale. (C. d. n.)

RZECZY WIDZIANE.

Z pośmiertnych rękopismów Wiktora Hugo.*)

1838.

TALLEYRAND.

19. Maja.

Na ulicy Saint-Florentin jest pałac: tuż obok przy zbiegu ścieków widać kanał z rozdziawioną paszczą.

Na pałacu bogatym, szlachetnym, imponującym, czytano dawniej napis: *Hôtel de Infandato*, dziś, w roku 1838 czytamy inny: *Hôtel Talleyrand*. Przez całe lat czterdzieści mieszkając w tym pałacu, ostatni jewłaściciel i gospodarz może ani razu nie rzucił okiem na ten kanał.

Dziwna to była postać, szczególna ten Karol-Maurycy de Périgord. Szlachcic jak drugi Macchiawel, ksiądz a renegat jak Fouche, intelegentny i sprytny, jak Wolter i kulawy jak sam diabeł. I wszystko rzecz można, kulało w tym człowieku: szlachectwo z którego służebnicę republiki uczynił; każ... państwo sponiewierane na polu Marsowem i splugawione; małżeństwo, które zerwał po dwudziestu skandalach w drodze dobrowolnej seperacji; rozum wreszcie zaikczemniały w upodleniu

Ten człowiek był jednak wielkim: był on wcieleniem splendorów Francji królewskiej i cesarskiej. Był księciem de Vaux przez królestwo, był księciem cesarstwa francuskiego.

Przez lat trzydzieści, pogrążony w swym pałacu i w myśli swej człowiek ten rządził Europą. Spoufalony z rewolucją wdzięczył się do niej, potrosze z ironją, co prawda, choć ona się na tem nie poznała. On sam znał wszystkich; ze wszystkimi był blisko; zbadał, zgłębił, przeniknął, wyszydził, sponiewierał, przerobił i zapłodnił wszystkich współczesnych sobie, wszystkie idee swego stulecia, i miał chwile w którem będąc panem owych kilku potężnych utajonych sprężyn, które cały świat ucywilizowany w ruch wprawiają igrał sobie z Napoleonem I, cesarzem francuzów, królem włoskim, protektorem Związku Reńskiego, pośrednikiem Szwajsarskiego. Takie bawidełka przybierał sobie ów człowiek.

Kiedy po rewolucji lipcowej runął cały dygnirarjat wśród którego Talleyrrand tak potężne zajmował stanowisko, nic go nie zraziło: stanął oko w oko z ludem zbiedzonym i na w pół nagim i rzekł doń spokojnie: zrób ze mnie swego rzecznika przedstawiciela...

Człowiek ten był ostatnim spowiednikiem Mirabeau i pierwszym powiernikiem Taiersa. Sam mawiał o sobie, że jest wielkim poetą i, że stworzył trylogię w trzech dynastjach Akt I, *Cesarstwo Bounapartego*; akt II, *dom Burbonów*; akt III, *dom Orleanów*.

I wszystkiego dokonał w tym swoim pałacu, jak pająk przeciągnął kole no i chwytał w swe sieci bohaterów, myślicieli, wielkich ludzi, zdobywców, królów, książąt i cesarzów Bonapartego, Sieyesa, panią Staël ,Chateaubrianda, Aleksandra I, Wilhelma pruskiego, Franciszka Austrjackiego, Ludwika XVIII, Ludwika-Filipa i wszystkie te złociste muszki,, które brzęczą w historji ostatnich lat czterdziestu. Cały ten rój błyszczący zdrętwiały pod przenikliwem spojrzeniem tego człowieka, przechodził pod tym posępnym portykiem, nad którym stoi napis: HOTEL TALLEYRAND.

Otóż, onegdaj, 17 maja 1838, ten człowiek umarł. Przyszli lekarze i zabalsamowali trupa. Dopełniając tej czynności, zwyczajem od egipcjan jeszcze przyjętym, wydobyli wnętrzności z żołądkiem i mózg z czaszki. Poczem uczyniwszy z księcia Talleyranda mumię i zagwoździwszy tę mumię w trumnie obitej białym atłasem, odeszli pozostawiwszy na stole mózg, ów mózg, który tyle przemyślił, tylu rzeczom i ludziom dał inicjatywę, tyle zbudował, pokierował dwiema rewolucjami, dwudziestu królów oszukał i cały świat mieścił w sobie. Kiedy doktorzy odeszli, wszedł lokaj i dostrzegł to, co zostawili: Patrzcie zapomnieli tego. Co z tem począć? Przypomniał sobie, że jest na ulicy kanał, poszedł tedy do kanału i cisnął weń ów mózg. *Finis rerum.*

---

*) W Paryżu wyszło świeżo pośmiertne dzieło Wiktora Hugo p. t. „Les choses vues“ („Rzeczy widziane“). Z dzieła tego podamy czytelnikom naszym niektóre wyjątki, z których każdy stanowi całość. (Przyp. Redakcji.)

W Noc Maskaradową.

Powieść z francuskiego

przez

AUTORA „STAROŚCI LECOQU'A“.

(Ciąg dalszy. Patrz Nr. 8.)

W tejże chwili lokaj wszedł i oznajmił, że powóz zajechał.

Przyjaciele obaj wsiedli razem do powozu, który prędko się potoczył przez ulice.

—Kiedy się z tobą zobaczę?

— Jak tylko będę miał dla ciebie jaką nowinę — odpowiedział kapitan, wyskakując z powozu, przy bramie tryumfalnej.

Przyjechawszy przed pałacyk pani Cambry, Darcy posłał swego garsona z zapytaniem, czy pani jest w domu.

Przed kratą podwórzową stała dorózka, widocznie tylko co przybyła, z czego Darcy wnioskował, że pani Cambry widzialną jest dla gości.

Nie omylił się, bo garson przyniósł mu odpowiedź twierdzącą.

W buduarze, dość zwyczajnie umeblowanym, dokąd pani Cambry prosiła Gastona, spotkała go niemała niespodzianka: obok kanapki, na której siedziała piękna wdowa, zobaczył swego stryja, poważnego, i posmutniałego, jak zwiastuna złych wiadomości.

Pani Cambry słuchała go uważnie, lecz niespokojnie.

Na widok wchodzącego, piękna pani podniosła się z kanapy, przywitała go bardzo uprzejmie, a powiedziawszy kilka zwykłych grzeczności, odezwała się doń następnemi słowy!

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł, pomoże mi pan bronić naszej przyjaciółki.

Darcy tego tylko pragnął, lecz wyraz bronić mówił, że sędzia śledczy wciąż jeszcze obwinia Bertę, wątpił też Darcy, czy pozwoli mu z czem się odezwać na jej korzyść.

Zanim więc odpowiedział pani Cambry, spojrzał na stryja i zobaczył, że po twarzy jego przebiegł poczciwy jakiś uśmiech.

— Obiecałem ci, że nie będę mówił o tej smutnej sprawie — rzekł stryj, podając mu rękę — ale w obecnym stanie rzeczy, nie mam się z czem przed tobą taić, bo śledztwo prawie już ukończone i możesz usłyszeć, co już powiedziałem pani Cambry, która jak wiesz, żywo się interesuje tem nieszczęśliwem dziewczęciem.

— Jakże mogę się względem niej zachowywać inaczej, kiedy pewna jestem jej niewinności.

— Bardzobym chciał podzielić opinję pani — odparł sędzia śledczy — ale ja znów nie wątpię, że oskarżona jest winną. Wczoraj mogłem jeszcze przypuszczać omyłkę prawną, spowodowaną pozorami, dziś sądzić muszę inaczej, dziś mam już dowody rzeczowe...

— Jakie, ten sztylet japoński?

— Nie, inne bardziej przekonywające... Badałem pokojówkę pani Dorcival i dowiedziałem się, że chodziła z listem od swej pani do panny Letereuil, a ta po przeczytaniu listu, bardzo zmieszana, odezwała się: „Proszę powiedzieć pani Dorcival, że będę“ — gdzie, nie wymieniła, bardzo naturalnie, przypuszczać jednak, że tu chodziło o maskaradę... A co było celem schadzki? Oto pokojówka twierdzi stanowczo, że pani jej miała listy, pisane przez pannę Letereuil do jakiegoś... do jakiegoś mężczyzny, listy, które nie pozostawiają żadnej wątpliwości, co do charakteru stosunków.

— Więc — zawołała pani Cambry, pan sądzi, że ta nieszczęśliwa jest całkiem zgubiona?

— Reputacja jej już przepadła, niestety; co się tyczy wyroku sędziów, to niebawem... Ale powiedziałem Gastonowi. że prawdopodobnie przysięgli będą mieli dla niej litość.

— To jest chce pan powiedzieć, że głowa jej nie spadnie, lecz, że będzie skazana na całe życie więzienia; co za smutna pociecha! Czyż śmierć już nie lepsza?

Roger Darcy widocznie był wzruszony i ledwie zdołał odpowiedzieć:

— Bardzo być może, że będzie skazana nie na całe życie... na lat dwadzieścia, a może na dziesięć, jeżeli sędziowie zgodzą się zmniejszyć karę o dwa stopnie, na co prawo pozwala.

— Dziesięć lat... — powtórzyła pani Cambry — dziesięć lat okropnych męczarni... Mówiono mi, że kobiety, wtrącone do tego piekła, albo umierają, albo dostają obłąkania...

Tym razem sędzia śledczy nic nie odpowiedział.

— Nic pan nie mówi! — zawołała pani Cambry — więc to prawda: tam umierają, albo dostają obłąkania... I oto jaki los gotuje się dla niewinnej, bo przysięgam, że Berta jest niewinną! O! to okropne! niech pan pomyśli... Niech nam pan przynajmniej powie, że jej darują winę.

Darcy wstrząsnął głową i odrzekł wielce wzruszony:

— Daremnieby się pani tem łudziła, po wyroku panna Letereuil wciąż jeszcze zwracać będzie uwagę. Proces jej będzie bardzo głośny i gazety krzyczećby poczęły o niesprawiedliwości, gdyby jej darowano winę. Można przebaczyć prostej robotnicy, nigdy się o stronność nie posądzi; ale dla kobiety inteligentnej sąd musi być bez litości.

Tego dla Gastona było już za wiele. Wstał, uścisnął w milczeniu rękę pani Cambry i pośpiesznie wyszedł, zostawiając stryja ze szlachetnego serca wdową, zalewającą się łzami.

— Nie — rzekł, schodząc ze stopni schodów — Berta nie umrze w tem strasznem więzieniu... Co tam listy i wszelkie możliwe dowody! Przekonany jestem... czuję, że jest niewinną... A jak mi się nie uda tego dowieść, to co mi po życiu?

XIII.

Na pogrzebie.

O godzinie wymienionej przez Marjetę, kapitan zajeżdżał przed kościół św. Augustyna, przybywając na pogrzeb Julji Dorcival.

Świątynia cała napełniona była tłumem, a jeżeli kobiet było bardzo dużo, to i mężczyzn nie brakło.

Poznał również kapitan Marjetą, która zaraz poczęła do ócz przykładać chustkę, jak tylko go zobaczyła i ukłoniła mu się z lekka.

Nointel zamierzył z nią pomówić po skończonem nabożeństwie, ażeby jeszcze wypytać, tymczasem zaś przyglądał się dalej obecnym kobietom i w najciemniejszym zakątku kościoła zauważył jakąś panią, klęczącą na gołej posadzce.

Był od niej dość daleko i mógł zauważyć tylko, że ma na sobie wytworny ubiór żałobny. Dziwiło go, że tak bogato ubrana dama, klęczy nie na poduszce.

Twarzy wcale rozróżnić nie mógł, zasłonięta była bowiem woalem gęstym, o ile wnosił jednak z postawy, sądził, że była to kobieta młoda i ładna.

Modliła się gorąco, schyliwszy głowę, jak po lekkim wstrząsaniu ciała można było przypuszczać, że płacze.

Dziwna wtedy myśl przebiegła kapitanowi przez głowę; czytał on kilka romansów kryminalnych, w których była mowa, że zabójcy nigdy nie mogą się oprzeć chęci zobaczenia raz jeszcze miejsca zbrodni, a nawet nie są w stanie powstrzymać się, ażeby nie zajrzeć do Morgi i oglądnąć trupa ich ofiary.

Nie bardzo dowierzał wprawdzie twierdzeniom autorskim, pomimo to, w jednakowych okolicznościach obecnych, jął o tem myśleć i rzekł do siebie:

— A jeżeli to rzeczywiście zbrodniarka, która tu przyszła żałować za swą winę i prosić nieboszczkę o przebaczenie? Dlaczegóżby nie? Wątpić niepodobna, że Julję zamordowała kobieta, a kobiety zdolne są do wszelkich dziwactw. Muszę się zbliżyć do tej nieznajomej. Kiedy skończy się modlić i wstanie, chyba przyjrzę się jej, bo dobre mam oczy.

W tejże chwili egzekwie skończono śpiewać, tłum się cały poruszył.

Kościół prędko stawał się pustym, a nieznajoma wciąż jeszcze nie zabierała się do wstania.

— Taka nabożność przy tak bogatem ubraniu ma w sobie coś nienaturalnego — mówił do siebie kapitan. — Paryżanki nie są tak nabożne. A gdyby to była margrabina Barankos... doprawdy, ciekawa rzecz... muszę zaczekać, a jeśli będzie potrzeba, pójdę za nią.

Tak się namyśliwszy, Nointel śpiesznie jął się kierować ku wyjściu, gdy wtem zagrodzili mu drogę żałobnicy, niosący trumnę.

Rad nie rad musiał ich przed sobą przepuścić, i z wielkim żalem widział, jak klęcząca osoba wstała nareszcie, podeszła do drzwi bocznych i znikła. Ledwie zauważyć zdołał, że postać jej i wzrost podobne były do margrabiny, ale nie dość to jeszcze było, ażeby powziąść przekonanie, że to ona, to też kapitan spiesznie podążył w tę stronę, którędy wyszła. Chciał się z kościoła wydostać jaknajprędzej, ale taki był ścisk we drzwiach, że kiedy wyszedł na ulicę, damy zawoalowanej już nie było.

Daremnie rozglądał się na wszystkie strony i obszedł kościół dokoła... nieznajomej nie było nigdzie. Widocznie czekał na nią powóz, tak przynajmniej myślał Nointel.

W tem spostrzegł kapitan zbliżającą się Marjetę.

— Nieprawdaż, proszę pana, że wszybyło porządnie — rzekła, ocierając oczy chustką batystową, według wszelkiego prawdopodobieństwa, należącą dawniej do jej pani.

— Tak, wspaniale i rozrzewniająco, jestem najzupełniej wzruszony.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Od ręki.

— W Stanisławowie umarł Agaton Giller.

W naszych ostatnich smutnych i nad wyraz ciężkich politycznych dziejach, zajmował on wybitne, choć nie zawsze odpowiednie, stanowisko. Stronnictwo krakowskie, tak nazwanych Stańczyków, wrogo było usposobione przeciwko Agatonowi Gillerowi, który im się też odpłacał pięknem za nadobne... Agaton Giller we wszystko, co robił, pisał i mówił — wierzył — i to jest właśnie charakterystyczny i ogromnie dodatni rys jego charakteru. Jako pisarz nierozporządzał, ani talentem odpowiednim do tego, co przedsiębrał pisać, ani głębszą nauką — wszędzie był patrjotą polskim do ostatniej kropli krwi i tym patrjotyzmem zabarwione są wszystkie jego prace dziennikarskie i literackie, których zmarły pozostawił długi szereg zacząwszy od dziennika „Ojczyzna", który przed dwudziestu laty wydawał w Szwajcarji, a skończywszy na „Historji powstania 1863 r." która jest niedokończona. Był to charakter czysty, prawy, gorący, i przedewszystkiem kochający to, co polskie. Pod tym względem najwięksi nieprzyjaciele ś. p. Agatona Gillera, a miał ich dosyć za życia, muszą mu oddać sprawiedliwość. Podczas ciernistego swojego życia Agaton Giller nieprzeniewierzył się swoim przekonaniom, ani na jedną minutę. Tę zacność charakteru i prawdziwie głęboki patrjotyzm, który zapewne często się mylił i błądził, uszanował dzisiejszy Namiestnik Galicji JE. Filip Zaleski i pozwolił zmarłemu mieszkać w Galicji, z której za namiestnictwa Alfreda Potockiego został wydalony.

— Rabuś w Gródku.

A to co znowu? Tak jest — mieszka taki korsarz w Gródku, tylko, że zamiast buszować po tamtejszem jeziorze, uwija się na niwie wydawniczej. Jest to niejaki p. Czaiński, drukarz. Ogłosił właśnie teraz prospekt i prenumeratę na książkę do nabożeństwa p. t. „Tarcza polska", która jest własnością p. Teofila Szumskiego, znanego literata i współpracownika „Gazety Lwowskiej". Pan Szumski przeciwko takiemu rozbojowi zaprotestował publicznie, ale tego rodzaju ludzie, mają tyle wstydu akurat, ile go ma kozioł w kapuście i naturalnie p. Czaiński swoje rzemiosło prowadzi dalej kłamiąc w prospekcie wszystko, co tylko tam jest wydrukowane. Jaki to drukarz i wydawca z tego p. Czaińskiego, doświadczyliśmy na sobie. Parę lat temu, gdy drukarnia z której zwykle wychodzą nasze pisma była przeciążona robotą i nie mogła wydrukować nam na czas nadzwyczajnego belletrystycznego dodatku do „Gońca" posłaliśmy skrypta panu Czaińskiemu do Gródka z poleceniem, aby z nich wydrukował powyższy dodatek. Wówczas p. Czaiński wydawał „Przyjaciela domowego" i zanim nasz dodatek wydrukował, wszystkie artykuły, które mu się podobały z naszych skryptów pomieszczał w „Przyjacielu domowym", a że nasz dodatek wyszedł coś dwa tygodnie potem, więc naturalnie za skład tych artykułów miał p. Czaiński zapłacone i jako drukarz korzystał z nich w „Przyjacielu"; dalej, jako drukarz Czaiński sprzeniewierzył po prostu oddane mu skrypta nasze i podstępnym sposobem skorzystał z cudzej pracy i prawa własności, jako wydawca „Przyjaciela", co prawda wydawca od siedmiu boleści, ale zawsze wydawca. Coś podobnego nie zdarzyło się nigdy w stosunkach drukarskich, gdzie u nas we Lwowie np. w drukarniach drukuje się po kilka pism perjodycznych, z których nie jednego wydawcą jest sam właściciel drukarni i nigdy jeden wiersz ze skryptu jednego nie zostanie skradziony dla pisma drugiego. Za ten jeden fakt p. Czaiński mógłby być pociągnięty do odpowiedzialności kryminalnej.

Prędzej, czy później wyręczy nas w tem kto inny. Panu Czaińskiemu zaś przypomnieć należy księgarza Jagielskiego w Poznaniu, który także rabusiowskim sposobem wydał pośmiertne dzieła Syrokomli na szkodę pozostałej rodziny po zmarłym poecie — i zbankrutował, bo publiczność nie chciała kupować tego, do czego wydawca nie miał najmniejszego prawa. To samo powinno być i z „Tarczą polską", do której ma jedynie prawo p. Teofil Szumski i, który też, o ile wiemy nietylko w drodze dziennikarskiej, ale i sądowej zapobiegnie takiemu rozbojowi, który chwała Bogu w naszych stosunkach polskich, jest bardzo rzadki.

Odpowiedzi Redakcji i Administracji

P. R. w Sieniawie. Dlaczego pan nie udał się z reklamacją wprost do naszej administracji, zamiast używac pośrednictwa pisma, któremu nic do tego i którego redakcja wrogo jest dla nas usposobiona... Prenumeratę pańską zapisaliśmy od 1go sierpnia, ale kilka numerów z lipca i primę wysłaliśmy.

P. Horowitz w Stanisławowie. Prenumeratę otrzymaliśmy — liczymy ją od 1go sierpnia; parę numerów z lipca wysłaliśmy jednak.

P. Geduldig w Krakowie. Inserat pański rozpoczął się w 14 numerze „Iskry".

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni „Dziennika Polskiego" pod zarządem J. Mittiga.